**Jerzy Szymula**

**Są lata osiemdziesiąte, startujesz z biżuterią. Jak wspominasz ten czas?**

Rok 1980 i następne lata były straszne! Najpierw pojawił się entuzjazm po Porozumieniach Sierpniowych. Ludzie się zmieniali, ponownie uwierzyli, że można, ale niemal natychmiast nastąpił strzał w wykonaniu pana w ciemnych okularach i ruszyła fala emigracji; tej wewnętrznej i tej sensu stricto. Nie wiem, ilu ludzi się pozbierało i ruszyło do walki. W każdym razie chwała im za to! Kilkoro moich znajomych oddelegowało się na zawsze ze świata wymyślonego przez juntę. Nie wspominam tego czasu dobrze. Dzieci mi się rodziły, a w związku z sytuacją polityczną, moja rodzina miała poważne problemy egzystencjalne; te dotyczące materii oraz te dotyczące emocji. Do zawodu wystartowałem trochę później - w 1988 r. Dobrze pamiętam, że już po podstawówce chciałem pójść do szkoły jubilerskiej, ale jedyna, jaka funkcjonowała wówczas w Krakowie, była zawodówką, w dodatku kiepską. Wylądowałem w technikum. Po pięciu latach zostałem elektronikiem, by na studia wykręcić na polonistykę! Przez trzy lata uczyłem języka polskiego w Topolówce - bardzo dobrym gdańskim liceum. W 2004 r. Newsweek" doniósł, że III LO w Gdańsku jest i było najlepsze w Polsce - miłe, ale myślę, że to jednak tylko takie medialne gry i zabawy. W Topolówce przez przypadek poznałem dziewczynę, która uczyła muzyki. Jej mąż był plastykiem i miał pracownię, w której wykonywał zaawansowaną biżuterię artystyczną. Pracownia sprawiała wrażenie archaicznej - jak u alchemika - ale właśnie to mnie urzekło! Czułem się tam kapitalnie! Edek, czyli Edward Drozdowski - dziś mój serdeczny kolega - oznajmił, że w ferie mogę przychodzić do niego i uczyć się fachu. No więc zamiast jechać na narty, odwiedzałem jego pracownię, w której fascynowało mnie wszystko. Uczyłem się dość szybko, do tego stopnia, że Edek zaproponował, że weźmie moje pierwsze prace na Targi Poznańskie i spróbuje je sprzedać. Za jeden przedmiot wykonywany w ciągu dwóch dni dostawałem pół pensji nauczycielskiej! Zacząłem zastanawiać się, co w takim razie z nauczaniem w LO? Biżuteria pociągała mnie niebywale, ale szkoła również. Zaryzykowałem i wróciłem do swoich niemal dziecięcych (14 lat) marzeń.

**To były projektowe przypadki?**

Bardzo dobre pytanie! Były to kute bransolety z prostych elementów. Kupowaliśmy granulat srebrna i po odlaniu walcowaliśmy z niego blachy oraz wykonywaliśmy druty. Po prostu uczyłem się podstawowych czynności: odlewać, kuć, walcować, wyginać, lutować, wykańczać przedmioty. Natomiast przede wszystkim musiałem sprawdzić, czy w ogóle nadaję się do zawodu, więc rysowałem jak wariat i chodziłem do rozmaitych kolegów z pytaniem, czy wszystko, co robię, ma sens. Koledzy mruczeli coś pod nosem, nie mówili "nie", czasem jakiś obiecujący wyraz pojawiał się na ich twarzy, więc tym samym dopuszczali gołowąsa do swojej gildii. Okazało się, że to zatrybiło. To głównie ze względu na mój obłędny wówczas entuzjazm. Kochałem projektowanie. W LO wziąłem pół etatu, żeby sprawdzić, czy aby na pewno sprostam wyzwaniu. Już miałem dzieci, więc musiałem wiedzieć, czy po prostu uda mi się wygenerować pensję. Okazało się, że jak najbardziej. To jednak były inne czasy i inny rynek - rynek producenta, na którym łatwo się sprzedawało biżuterię. Wówczas wystarczała mi jedna galeria, z którą współpracowałem. Przez rok sprawdzałem, czy poradzę sobie w zawodzie złotnika. W 1989 roku dostałem uprawnienia z Ministerstwa Kultury i Sztuki, więc wszystko stało się jasne. Zapaliło się przede mną zielone światło!

**Wspominasz o kooperacji z jedną galerią - którą masz na myśli?**
Pierwsza to "Galeria Katarzyny Marszalec", z którą współpracowałem, mieszkając w Gdańsku. Dziś już nie istnieje. Tam było świetnie. Bywało tak, że zanosiłem pojedyncze przedmioty do galerii, a po przyjściu do domu już miałem telefon, że mam pojawić się ponownie, bo właśnie moja biżuteria została sprzedana! Dziś jak o tym mówię, czuję, jakbym opowiadał bajkę, ale to akurat są fakty. Drugą była legendarna Black Gallery w Krakowie, która początkowo mieściła się na ulicy Świętego Jana, a później na Mikołajskiej, gdzie dziś „struga się” kebab czy inne zapiekanki. Robiłem regularne wycieczki z Gdańska do Krakowa. Black Gallery organizowała wystawy "Top 20" i jako młody chłopak brałem w nich udział, dzięki czemu po dwóch, trzech latach działalności twórczej znalazłem się w gronie starszych kolegów, którzy robili wówczas najlepsze rzeczy w Polsce. To było wyróżnienie dla mnie, ale mocno na nie pracowałem.

**Gdzie obecnie można znaleźć Twoją biżuterię?**

Już nie szaleję, swoje zrobiłem. Pracowałem blisko 30 lat, projektując biżuterię, i teraz chcę uspokoić moją działalność. Znalazłem dobrą pracę w państwowej firmie, poniekąd związaną z moim wykształceniem filologa, która gwarantuje mi finansowe bezpieczeństwo - mam etat na Uniwersytecie Jagiellońskim. Biżuterię realizuję w tej chwili w mniejszych seriach. Dodam, że robię to bardzo chętnie, z entuzjazmem i w końcu - z prawdziwą dozą komfortu, a nie pod pistoletem finansowym. Brałem udział w około czterdziestu targach złotniczych, około dwudziestu wystawach jubilerskich. Nie zbudowałem wielkiej firmy, ponieważ nigdy nie chciałem otaczać się gronem osób, które musiałbym utrzymywać i stale kontrolować. Wtedy przestałbym mieć kontakt z istotą zawodu, czyli z kreacją, na rzecz prowadzenia firmy. To inny zawód. Nie chciałem być biznesmenem. Z natury mam kameralne usposobienie. Szalenie lubiłem projektować i nadal sprawia mi to ogromną satysfakcję. Niestety myślę, że dotychczas wykorzystałem swój potencjał twórczy jedynie w niewielkim stopniu. Trudno. Taka była i jest konfiguracja na rynku, a ja uporczywie za "Wilhelma Zdobywcę" robił nie będę.

**Rozglądając się po Twoim mieszkaniu, dostrzegam szereg zainteresowań. Zastanawiam się, jak polonista na etacie i jednocześnie złotnik ma czas na hobby?**

W moim zawodzie plastyka/jubilera raczej przeszkadzają zainteresowania "pozalekcyjne". Mówię to poważnie. Skończyłem szkołę muzyczną i mogłoby się wydawać, że to tylko podstawówka, ale nigdy nie porzuciłem czynnego grania. Piętnaście lat temu zbudowałem dosyć pokaźne domowe studio nagrań, do którego przychodzili ludzie zdolniejsi ode mnie, i nagrywaliśmy płyty. Swoich nagrałem dziesięć. To muzyka najczęściej w klimatach jazzowych, często z odwołaniami do klasyki. Nie nagrywałem coverów (poza nielicznymi wyjątkami), tworzyłem własne kompozycje, w tym złożone, nagrywane w technice wielośladu przy użyciu kilku instrumentów, na których musiałem nauczyć się grać, że nie wspomnę o ich zakupie. Kiedyś na przykład wymyśliłem, że nagram muzykę na gitarę klasyczną i organy kościelne, o których miałem mgliste pojęcie, ale jakoś się powiodło. Myślę, że każdy wariat mógłby to zrealizować. Oczywiście nie śmiałbym pokazać swojego "dzieła" zawodowcom, ale co chciałem, i co mi sprawiło niekłamaną satysfakcję - wykonałem! Naturalnie cały czas uznaję tę działalność za amatorską, hobbistyczną - część moich nagrań jest do odsłuchania na Facebooku, na You Tube oraz na Soundcloud.

Robienie muzyki na wyższym poziomie - a takie miałem ambicje - uznaję za niebywale trudną sztukę. Nie ma co porównywać działań w sferze dźwięków do działań w innych sferach artystycznych. W chwili obecnej moje studio nagrań zostało zminimalizowanie. Oczywiście jest gotowe do startu na pełnych obrotach, tyle że ja absolutnie teraz tego nie chcę. Moje decyzje sprzed lat o rzucaniu się na wszystko dzisiaj uznaję za błędne, choć niczego nie żałuję. Wyhamowałem przy sprowadzaniu wirtualnych instrumentów z Ameryki i wkręcaniu się w technologię midi. To już była szajba! Zamiast muzyki i muzykowania wykwitła technologia! Oprócz komponowania, nagrywania płyt na różnych instrumentach, zajmuję się także projektowaniem okładek, materiałów reklamowych, itp, czyli korzystam czasem z programów graficznych. Uczyłem się również projektowania stron internetowych, ale główna moja działalność na komputerze to oczywiście projektowanie biżuterii w stosownych programach. Aby odpocząć i się odstresować, niemal maniakalnie wyjeżdżam w góry. Na szczęście mam blisko - wsiadam w samochód i po godzinie jestem na szlaku. Zimą jeżdżę na nartach. Byłem związany z krakowskim klubem narciarskim Yeti. Bywało, że pracowałem do godziny piętnastej, potem pakowałem narty i jechałem się wyszaleć. Po paru godzinach młócki, jak to się u nas zwykło określać jeżdżenie w kółko, wracałem do domu na kolację. Cieszę się, że wciąż na wiele rzeczy mam ochotę!

**Człowiek orkiestra - ledwo nadążam za Twoimi zainteresowaniami i talentami! Zarejestrowałam gitarę - kiedy zacząłeś na niej grać?**

W wieku trzynastu lat, ale pewnie wcześniej, bowiem już w siódmej klasie podstawówki zapisałem się do ogniska gitarowego w Pałacu Pod Baranami, prezentując na wstępie pewne umiejętności, a w roku następnym byłem już uczniem Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia przy ulicy Basztowej w Krakowie, gdzie mieściły się wszystkie najważniejsze szkoły muzyczne - od podstawówki po akademię. Miałem fantastycznego nauczyciela - legendarnego Czesława Droździewicza, którego imieniem (R.I.P.) opatrzono Międzynarodowy Konkurs Gitarowy w Krynicy. Czesiek (byliśmy na ty) w latach 70. i 80. wygenerował cały ruch muzyczny dotyczący gitary klasycznej. To były fantastyczne czasy. W wieku czterdziestu ośmiu lat nagrałem płytę, w której nawiązuję do czasów, kiedy miałem lat szesnaście. Nazwałem ją "16/48".

**Występujesz publicznie, grając swoją muzykę?**

Miewałem takie przygody. Występowałem między innymi na festiwalu piosenki autorskiej OPPA w Warszawie. Jednak wtedy nie grałem ze swoim zespołem, tylko w grupie Andrzeja Gruszczyka, byłego dyrektora Gorczańskiego Parku Narodowego. Było miło, bo dotarliśmy do finału, ale to nie była muzyka, która mnie fascynowała. Natomiast podobało mi się to, że przypisano mi funkcję gitarzysty basowego, więc musiałem nauczyć się grać na basówce, wcześniej kupić sprzęt. Nagraliśmy razem niezłą płytę w moim domowym studio. Uczyłem się, a ja bardzo lubię się uczyć.

**Widzę sporą kolekcję płyt. Jesteś kolekcjonerem?**

Mam duży zbiór płyt jazzowych. Kiedyś próbowałem je policzyć. Wyszło około tysiąca. Teraz już ich nie kupuję, chyba że coś nadzwyczajnego wpadnie mi do ręki. Już nie biegam za płytami, nie szaleję jak dawniej. Po prostu nie chcę być stroną bierną w muzyce. To jest bardzo łatwe i zdecydowanie mnie nie satysfakcjonuje. Aktywną - owszem. Z kolei na studiach miałem fazę na filmy. Ze znajomymi potrafiliśmy odpuszczać zajęcia, by w klubie studenckim zobaczyć na przykład cztery rozmaite filmy pod rząd. Po ośmiu godzinach szczypały nas oczy. Od projektora i dymu papierosowego! Wtedy można było palić w kinie, w każdym razie nam się wydawało, że możemy. Takie były klimaty w starym Krakowie! Dzisiaj nikt nie pali, ani nie wysiaduje po osiem godzin w kinie. Do czego to doszło!

**Za to oglądamy w domu dobre seriale - przez kilka godzin pod rząd - i znajdujemy nowe zespoły na Spotify. A Ty odkryłeś ostatnio jakąś ciekawą muzykę?**

Owszem - ostatnio, przedostatnio oraz w czasach zamierzchłych! Mam pudła pełne płyt, głównie jazzowych, ale nie tylko. Uwielbiam klimaty proponowane przez Manfreda Eichera, szefa niemieckiej wytwórni ECM, który czterdzieści lat temu wypromował jazz europejski, ze szczególnym wskazaniem na Skandynawię. Kiedyś fascynowałem się jazzem amerykańskim, ale teraz już nie. Różnice w estetyce między kontynentami są kolosalne. Darujmy sobie wymienianie nazwisk. Niecały metr ode mnie leży około 50 płyt w istocie jeszcze niewysłuchanych. Mógłbym przeczytać nazwiska z okładek. Za to opowiem dykteryjkę: na studiach poznałem pewnego kolekcjonera płyt, który już wtedy, na początku lat 80., miał ich trzy tysiące! Przychodziłem do jego domu wymieniać się czarnymi krążkami i wtedy stwierdziłem, że pasja kolekcjonerska może być przejawem pewnych zaburzeń psychicznych. Akurat dla niego nie liczyła się muzyka jako taka, w każdym razie ewidentnie schodziła na dalszy plan. Ona była przede wszystkim pretekstem do posiadania! Zachowywał się niedorzecznie. Dużo by opowiadać. Najgorsze w jego szaleństwie było to, że miał żonę i dziecko, które stawały się dla niego niewidzialne, kiedy akurat miał fazę. Ale żeby była jasność - mam przyjaciela, który posiada jeszcze więcej płyt, tyle że kolekcjonuje je z innego powodu. Jest normalnym gościem, wybitnym ekspertem od jazzu.

**Jak zdobywałeś płyty?**

Często wymieniałem się nimi z tym szalonym kolekcjonerem. Sporo płyt kupiłem na przykład w Poznaniu. Na Rynku, w kamienicy, gdzie mieściło się Muzeum Instrumentów Muzycznych, był kiedyś kapitalny sklep z płytami. Jeździłem do Poznania sprzedawać biżuterię i w nagrodę po udanej transakcji kupowałem sobie... płyty, pizzę i piwo. Piękne czasy! Na marginesie: lubię słuchać jednego krążka przez kilka dni. Teraz na przykład wchłaniam Charlie Hadena już bodaj tydzień. Czy to jest zaburzenie psychiczne? A może nauka?

**Zdecydowanie nauka! Jeśli chodzi o sprawdzian z muzyki - dostajesz pięć z plusem, zaraz się dowiem, jak u Ciebie z literaturą. Pełno tu książek, co mnie nie dziwi, skoro jesteś polonistą. Jaką lekturę polecasz?**

Dużo czytam i słucham. Uwielbiam polską literaturę, np: Olgę Tokarczuk, Andrzeja Stasiuka, Marka Bieńczyka, Włodzimierza Odojewskiego, Wiesława Myśliwskiego, Wojciecha Kuczoka, księdza Michała Hellera, Jerzego Pilcha. W pracowni namiętnie słucham audiobooków. Kiedy wykonuję powtarzalne czynności, mogę założyć słuchawki i pracować niejako bez końca. Ostatnio w niedzielę pracowałem dwanaście godzin i przesłuchałem całą „Dziewczynkę w czerwonym płaszczyku" Romy Ligockiej. Z audiobookami dobrze mi się pracuje, wtedy odpływam. Popularnego radia nie słucham, bo mnie przeraża. Jest sformatowane i głównie szprycuje odbiorców pop music, nie wiedzieć czemu. Przez półtora roku przesłuchałem ponad pięćdziesiąt audiobooków. Pochłaniam je jak wariat!

**Robisz mnóstwo interesujących rzeczy, dodatkowo nos mi podpowiada, że właśnie przyrządziłeś coś pysznego do jedzenia.**

Zgadza się. W piekarniku dopieka się bakłażan. Lubię przygotowywać potrawy dla znajomych, czasem tak odklejone, jak królik po prowansalsku. Często odwiedzam strony internetowe z przepisami i eksperymentuję. Gotowanie jest dla mnie relaksem. Tę pasję odkryłem wtedy, kiedy poczułem się w obowiązku nakarmić moje córki-studentki, spożywające na studiach strawę duchową, ale nie zawsze konkretną. Dziewczyny odwiedzały tatę, a ja im przygotowywałem dania podług coraz to nowych przepisów wykwitających w sieci. Superzabawa! W ciągu dziesięciu lat wydałem co najmniej kilkadziesiąt kolacji i obiadów dla dzieci oraz dla bliskich i dalszych znajomych. Okazało się, że odpalenie kolacji czy obiadu wcale nie jest skomplikowane i drogie. To tylko kwestia zajrzenia do komputera i pozytywnego nastawienia. Czasem, kiedy zbliża się dwudziesta trzecia, a mnie jeszcze nie chce się spać, odwiedzam portale kulinarne i z błogością zanurzam się w oceanie smaków. Wtedy odpoczywam. Szukam przepisów ciekawych, nowatorskich, ale jednocześnie szybkich w przyrządzaniu.

**Chyba generalnie nie masz problemu ze zmianami i wprowadzaniem nowoczesnych rozwiązań - jak wdrażałeś nowe technologie w złotnictwie?**

Łatwo nie było. Przede wszystkim nie do końca miałem wyobrażenie, w co wchodzę. Przecież kilkanaście lat temu nikt w branży nie stosował techniki druku trójwymiarowego, a już na pewno nie przewidywał, jak ta technologia zmieni proces produkcji, a nawet myślenie projektanta. Świetną intuicją wykazał się nieodżałowany fan nowinek technicznych - Wojtek Kociuba z Krakowa - a ja podążałem za nim krok w krok. Oczywiście Wojtek nie siedział przy mnie i nie prowadził mnie za rękę. Przez pół roku noc w noc studiowałem ponad pięciusetstronicową instrukcję programu komputerowego napisaną w języku angielskim. W zasadzie znikąd nie miałem pomocy, a kosa bardzo często trafiała na kamień. Pamiętam niejedną kilkunastogodzinną nasiadówkę przed komputerem. Jak się później okazało, główną przyczyną problemów były niedoskonałości pierwszych wersji programu, którego się uczyłem. Czas zrobił swoje, a wysiłek i upór nie poszły na marne. Konsekwencją powyższych działań był w pewnym sensie demontaż klasycznej pracowni jubilerskiej. Oczywiście z sentymentem patrzę na moje stare narzędzia, mam je i konserwuję, jednak od lat z większości już raczej nie korzystam. Gotowe projekty kwitnące na ekranie komputera po prostu wysyłam mailem na drukarkę, otrzymuję najpierw model wykonany z tworzywa syntetycznego, potem ten sam model odlany w srebrze, wszystko sprawdzam, cyzeluję i w końcu zlecam pewien etap produkcji. Wykańczam sam. Niby skok technologiczny jest niewyobrażalny, ale po fali zachwytu jednak dotarło do mnie, że narzędzia i technologia to nawet nie ćwiartka sukcesu. Liczy się otwarta głowa, pomysł, kreacja... że pominę w tej chwili całą sferę marketingu. Dobry projekt można zrobić z czegokolwiek i nie musi być wykonany przy użyciu nowoczesnych technologii. Krótko mówiąc - nie szalejmy. Kilka razy należy się zastanowić, zanim projektant czy producent wkręci się w miesiące pracy. Oby te nie poszły na marne.

**Z jakimi materiałami pracowałeś?**

Głównie ze srebrem, ale to wbrew pozorom niełatwy materiał. Ma swoje wady, ponieważ śniedzieje i widać na nim plamy. Przez kilka lat byłem też ceramikiem, oczywiście na użytek biżuterii. Wymyśliłem sobie indywidualną technikę, która jednak była na tyle trudna, czasochłonna, że w końcu mnie zmęczyła. Z ceramiczną biżuterią wystawiałem się na Jarmarku Dominikańskim. Dziś nie chciałoby mi się stać na ulicy, jednak kiedyś to była miła przygoda. Przychodziły dziewczyny, które specjalnie przyjeżdżały na jarmark, aby zobaczyć, co zrobiłem nowego. Kiedyś nawet chciałem rozwinąć moją kolekcję ceramiczną, wymyśliłem także formy użytkowe, ale na te realizacje przyjdzie czas chyba w kolejnym wcieleniu. Myślałem również o szkle, które w zasadzie jest nieobecne w biżuterii. Miałem próby w tym kierunku zakończone nawet wysłaniem prac na jakiś konkurs, ale niestety nie da się wszystkiego robić. Wszystkiego natomiast warto spróbować.

**I Ty próbowałeś. A co było Twoim największym sukcesem?**

Kiedyś córka sprzedawała moją biżuterię w Londynie w dobrych galeriach. Zdarzyło się, że moją pracę w galerii Gill Wing Jewellery nabyła nowozelandzka aktorka Kerry Fox. (Warto o niej poczytać, bo Kerry i filmy z jej udziałem zdobywały główne nagrody na największych festiwalach świata, np. w 2001 w Berlinie za głośny film "Intymność"). Zapewne uznała, że mój czerwony naszyjnik świetnie będzie pasował do jej kreacji oraz do koloru dywanu, po którym będzie stąpała na 59.Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie, promując film "Burza" o wojnie na Bałkanach. Więc jak zobaczyłem, że moją biżuterię nosi supergwiazda filmowa, to stwierdziłem, że mogę już kończyć karierę projektanta. Wygłupiam się! Jest mi równie miło, a nawet milej, gdy dzwoni do mnie koleżanka, bo chce kupić coś z mojej kolekcji, ponieważ na przykład wybiera się na jakąś uroczystość. Sprzedaję jej wtedy coś z przyjemnością po cenie koleżeńskiej, ku obopólnej radości. Co roku biorę także udział w akcji charytatywnej „Krzysiek Pomaga Pomagać". Przygotowuję biżuterię na licytację, a pieniądze z aukcji przeznaczane są dla rodziców chorych dzieci. To dla mnie ogromna satysfakcja i niekłamana radość.

**Pięknie mówisz o swoich klientach. Lubisz kontakt z nimi?**

W pracowni przesiaduje się samemu nawet po dziesięć godzin dziennie, więc kiedy przychodzi przysłowiowa "niedziela handlowa", to uwielbiam tę chwilę relaksu oraz oczywiście kontakt z kimś, kto docenia moją pracę. Bez relacji z ludźmi nasza aktywność zawodowa nie miałaby sensu.

**Dla kogo jest Twoja biżuteria?**

Pracuję już tyle lat, że spokojnie mogę powiedzieć, że sprzedawałem niemal wszędzie: od straganu ulicznego na Jarmarku Dominikańskim po supergalerie w Nowym Yorku czy Londynie. Ale najbardziej lubię sprzedawać moją biżuterię wspomnianym koleżankom, które niekiedy zachodzą do mnie do domu. Pijemy wino, jemy bakłażana, wygłupiamy się, a na koniec otwieramy walizeczkę i coś z niej wybieramy. To są kapitalne kobiety, każda inna. Mam z nimi dobry kontakt. I proszę nie myśleć, że zapraszam swoje koleżanki pod pretekstem sprzedaży. Są ważniejsze aspekty życia - choćby tylko ciekawa rozmowa.

**W wasz zawód są też wpisane konkursy złotnicze - jaki masz do nich stosunek?**

Już rzadko biorę w nich udział. Czasem uczestniczę w tak zwanych wystawach zbiorowych organizowanych przez Stowarzyszenie Twórców Form Złotniczych. W tym roku korciło mnie, aby wziąć udział w legnickim konkursie, ale akurat padło na konkurs tematyczny, a te niekiedy mi nie leżą. Nie chodzi o to, że sprawiają mi trudność, tylko często proponowany temat, to nie moja bajka. Przy edycjach ogólnych, bez tematu, mam większą swobodę twórczą. Bo jeżeli na przykład jest konkurs pt. „Cyrk”, to wypada się trochę powygłupiać, a ja nie wiem, czy mam ochotę. Akurat posiadam taką naturę, że jestem pierwszy do wygłupów i żartów, ale niekoniecznie w biżuterii czy muzyce.

**Właśnie, nawet jeśli chodzi o formę, w Twojej biżuterii nie ma przymrużenia oka - z wielu stylów projektowania dla siebie wybrałeś minimalizm.**

Wydziwianie nie jest trudne. Uważam, że największą sztuką jest dodać zaskakujący element do prostej formy. Na przykład trudno jest wykonać obrączkę ślubną w sposób nowatorski, powyginać złote kółko w jakiś inny sposób. Tu bym polecił sprawdzić, jak rzeczone kółka wygina Andrzej Bielak, niegdysiejszy szef STFZ. Natomiast nie uważam za arcytrudne, pojechać na wariacką wystawę z odlotową pracą. Lubię, kiedy z prostego, geometrycznego elementu uzyskuje się efekt, w którym geometria znika, a pojawia się forma naturalna, choć nie w sensie dosłownym. Tyle wystarczy, by powstał dobry projekt. Na mojej stronie internetowej znajduje się biżuteria komercyjna, ale oczywiście na zamówienie realizuję bardziej zaawansowane projekty. Na przykład takie, jak z wystawy "STFZ.EKO". Niestety zmuszeni jesteśmy do ciągłego balansu. Ta sytuacja z lekka mnie zmęczyła, więc chciałbym odpocząć. Potrzebuję większego komfortu psychicznego, którego nigdy nie miałem, ponieważ zawsze pracowałem za dużo i za ciężko, plus te ciągłe umizgi! Teraz chcę nabrać dystansu. Pomyśleć, odpocząć - to jest mi bardzo potrzebne. W krajach cywilizowanych długoletniego pracownika wysyłają na urlop i ja właśnie takiego sobie udzieliłem!

**Ciekawe co będzie po przerwie?**

Myślę, że sublimacja. Wiele rzeczy odrzucę, wygeneruję jakąś fajną ścieżkę i będę nią podążał. Na razie odpoczywam... Przynajmniej tak mi się wydaje.

 **Trudno mi sobie wyobrazić! (śmiech) Zrobiłeś też przerwę od rodzinnego miasta. Wczoraj Grzegorz Błażko wspomniał, że tęskniłeś za Krakowem, mieszkając w Gdańsku.**

Jak cholera! Bez Krakowa - cokolwiek to znaczy - nie potrafię żyć. Tutaj się urodziłem i wychowałem. Jednak miałem siedemnastoletnią przygodę z Gdańskiem, gdzie z kolei wychowały się moje cudowne dzieci. To piękne miasto. Do pewnego stopnia mnie fascynowało. Z Gdańska przywiozłem nowy zawód - tam wystartowałem z biżuterią. Zresztą trudno się dziwić - to zagłębie jubilerów, jednak w większości sprofilowanych na bursztyn.

**I jak - lubisz się ze złotem Bałtyku?**

Na początku mój stosunek do bursztynu był podejrzliwy. Bursztyn źle mi się kojarzył. Jako chłopak latałem po Krakowie i widziałem koszmarny bursztyn głównie w Sukiennicach. To było przekleństwo pięknego kamienia! Na szczęście za moich czasów w Gdańsku wykwitły kapitalne pracownie, gdzie projektanci potrafili inaczej zająć się żywicą sprzed czterdziestu milionów lat. Jednak ci, którzy nie dopilnowali kwestii promocji, marketingu, nie zrozumieli potrzeb nowego rynku, przeważnie zostali wyoutowani. A propos - w Krakowie na przykład nie ma już galerii z biżuterią autorską. Galerie zamieniły się w... galerie! Wiemy, o co chodzi. Zaś w typowych sklepach jubilerskich jest ostra walka o przetrwanie i nieustanne umizgiwanie się do każdego, kto sięgnie do kieszeni po cokolwiek. Niestety takie ostatnio odnoszę wrażenie. Czasy, kiedy w centrach miast było po kilka fajnych galerii, jawią mi się już tylko jako sen.

Zdarzyło się raz, że jak święty Piotr, zaparłem się prawdy i zaklinałem potencjalnego kupca (byłem w wielkiej potrzebie), że moje prace nie mają absolutnie żadnych walorów artystycznych, bo przecież ja w ogóle nie mam takich ambicji, natomiast to, co oferuję, to jest tylko produkcja dla masowego i szybkiego klienta! A nabywcy właśnie zależało na łatwym towarze. Dzisiaj jak o tym myślę, robi mi się niedobrze. Z drugiej strony sądzę, że kto nie przeszedł przez wszystkie fazy piekła w zawodzie, ale także nie doświadczył sukcesu i kapitalnych momentów uznania, ten jeszcze niewiele wie o swojej pracy i o sobie samym. Krótko mówiąc - wszystko, co dotąd przeżyłem, to dla mnie ogromna wartość i wiedza.

**Zatem nie lubisz masowej biżuterii, a za jaką przepadasz? Jaką doceniasz?**

Kilka lat temu na komputerze założyłem folder o nazwie „Ciekawe”, w którym kolekcjonuję biżuterię z całego świata - z Azji, Australii, obu Ameryk i oczywiście z Europy. Każdy robi coś innego. Nie jestem zafascynowany jednym kierunkiem czy stylem. Wręcz przeciwnie - wyszukuję różnorodności. Ludzie robią naprawdę dobrą biżuterię. W tym folderze jest zbiór obłędnych przedmiotów. Zaraz Ci pokażę. Kiedy ktoś mnie pyta, co lubię, nie wiem, co odpowiedzieć, ponieważ każdy przedmiot, który znalazł się w tym folderze, jest wykonany w innym stylu i każdy z osobna mnie zachwyca. To zbiór kapitalnych wzorów, zastanawiających technik jubilerskich i ciekawych wykończeń. Lubię rozmyślać, jak dany przedmiot został wykonany, w jakiej technice i przy pomocy jakich narzędzi. Można powiedzieć, że fascynuje mnie niewiedza. Przepadam za biżuterią, która po prostu mówi do nas, o czymś opowiada. To łatwo odczytać. Podziwiam prostotę, ale oczywiście nie prostactwo. Czasem wpadnie mi w oko wesoły projekt, stworzony niejako na przekór konwencji. Natomiast nie lubię przyciężkawej i klasycyzującej biżuterii. Może uznasz to za dziwne, ale rozróżniam, czy biżuteria jest robiona przez kobietę czy przez mężczyznę.

**Ciekawe, Kamilla Rohn również o tym opowiadała. I jak to rozpoznajesz?**

Kobiety robią biżuterię miękką, ciepłą, tekstylną, naturalną, itp., natomiast panowie najczęściej tworzą geometryczne kształty przy użyciu rozmaitych sztuczek technicznych. Faceci lubią epatować rzeczonymi sztuczkami, a kobiety niekoniecznie. Płeć projektanta najczęściej ujawnia się w przypadku młodego twórcy. Kobiety, które kupują biżuterię, raczej nie interesują się techniką jej wykonania.

**To prawda, dla odbiorców często ważna jest forma, ale już niekoniecznie technologia, w której ta biżuteria powstała. Co sprawiało Ci największą trudność podczas nauki złotnictwa?**

Zdziwisz się, ale pozyskiwanie wiedzy. Tak na serio wystartowałem do nauki w 1988 r. Wówczas był tylko jeden podręcznik dotyczący wytwarzania biżuterii, którego zresztą nigdzie nie mogłem dostać. Na szczęście dorwałem jakieś odbitki fragmentów książki Franciszka Zastawniaka wydanej tuż po II Wojnie Światowej. To była cała wiedza. Z dzisiejszego punktu widzenia to śmieszne. Resztę wiedzy praktycznej musiałem pobrać ze środowiska, to jest bratać się z ludźmi, zaglądać do ich pracowni, pytać i podglądać. Musisz zdawać sobie sprawę, że nie wszyscy byli chętni do dzielenia się swoimi umiejętnościami. Drugim problemem był brak narzędzi niezbędnych do tworzenia biżuterii. Musiałem zdobywać je sposobem. Doszło do tego, że wraz z kolegą, który był inżynierem, zbudowaliśmy walcarkę jubilerską. Dziś jak na nią patrzę, to nie mogę uwierzyć, że ją wykonałem. Jest rewelacyjna i dobrze służy. Obecnie nie podjąłbym się podobnego wyzwania i nie zbudowałbym tak poważnego narzędzia jubilerskiego, ale wtedy musiałem. Teraz spokojnie można obejść się bez walcarki, ponieważ dowolne półprodukty są na wyciągnięcie ręki. Konstruowałem także inne maszyny: piły tarczowe, polerki, miniaturowe tokarki. Trzeba było sobie jakoś radzić.

**Gdybyś teraz zaczynał swoją przygodę z biżuterią, co zmieniłbyś?**

Rzecz pierwsza, która przychodzi mi do głowy, to nie rzucać się na wszystko! Trzeba znaleźć swoją niszę i w niej konsekwentnie się rozwijać. Ja jednak dużo eksperymentowałem. Wtedy tak musiało być. Jeśli miałbym teraz coś poradzić młodym twórcom to to, aby skupili się na jednym, dzięki czemu będą mogli być konkurencyjni i oryginalni, jeśli oczywiście przyłożą się do tematu. Niech robią coś niepowtarzalnego, wyjątkowego oraz niech próbują zaistnieć na rynku. Rynek jest przeogromny i szalenie trudny, ale skoro tak, to należy zastanowić się, do kogo chcemy trafić z naszą biżuterią, i wtedy dostosować strategię działania. Kolejną rzeczą bardzo istotną jest kontakt ze środowiskiem. Dobrze jest wkręcić się do Stowarzyszenia Twórców Form Złotniczych albo brać udział w targach, najlepiej w Galerii Projektantów - choć niełatwo się tu dostać.

**Co masz na myśli, mówiąc, że rynek złotniczy jest szalenie trudny?**

Zwróć uwagę choćby na zmianę desygnatu słowa "galeria". Dwadzieścia lat temu, wypowiadając to słowo, było dla Ciebie jasne, że mowa o miejscu, gdzie prezentuje się sztukę. Dziś galeria to centra handlowe, sklepy. Oczywiście są instytucje jak Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie, które nie działają na zasadach komercyjnych. Finansuje je miasto lub Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Inaczej nie dałyby rady funkcjonować. Byłem kiedyś na wystawie zatytułowanej „Ekonomia w sztuce” w krakowskim, państwowym MOCAK-u , gdzie jeden z artystów przyniósł kilkumetrową rurę z rusztowania i ustawił ją pionowo. Koniec pracy. Z tego faktu oraz z innych doświadczeń płynie bezcenna wiedza o przestrzeni, w której się poruszamy jako twórcy.

**Byłam dziś w MOCAK-u i moją uwagę przykuł witraż Rafała Bujnowskiego, który powstał w wyniku przypadku. Nasuwa mi się pytanie, czy Twoja twórczość również bywa przypadkowa?**

Zdziwisz się, ale moje pomysły rodzą się po prostu... na kanapie. Kładę się, zamykam oczy i nie wstaję, dopóki nie zobaczę tego, co zobaczyć chciałem. Przedmiot ma się pojawić w mojej głowie i nie może być podobny do żadnego innego, żeby nie był plagiatem. Potem sprawdzam - najczęściej też z zamkniętymi oczami - czy rzecz w ogóle da się wykonać pod względem technicznym. Następnie zasiadam do komputera i się zaczyna... Przenoszenie niekiedy mglistego wyobrażenia do realu zajmuje mi z reguły cały dzień. Kiedy mam coś zaprojektować, nie mogę być zmęczony. Najlepsze pomysły pojawiają się po dniu dobrego relaksu. Inspirację czerpię zdecydowanie z natury, ale nie lubię jej dosłownie odwzorowywać. Cenię geometrię, która jednak przestaje być taka szkolna, kiedy się do niej dobiorę.

**Jeśli już zahaczamy o wątki akademickie - jesteś nauczycielem, znasz się na wytwarzaniu biżuterii, nie myślałeś o nauczaniu w szkole złotniczej?**

Byłoby świetnie! Raczej o tym nie myślałem, ale to rzeczywiście dobry pomysł. Musiałbym wysłać swoje CV na przykład do Krakowskich Szkół Artystycznych i może by się udało. Chętnie uczyłbym projektowania komputerowego. Mam w tej dziedzinie wieloletnie doświadczenie, a wiem, jak trudno uczyć się tego samemu. Programy się rozwijają, mają coraz większe możliwości, ale na przykład bardzo zaawansowany Matrix mnie nie interesuje, bo jest typowym programem do oprawiania kamieni, że uproszczę sprawę. Zakuwanie np. kilkunastu lub kilkudziesięciu brylantów czy cyrkonii na powydziwianej powierzchni w istocie nie ma nic wspólnego z tym nurtem szeroko pojętej sztuki złotniczej, który akurat ja wybrałem i pokochałem. Po prostu wolę klimaty generowane przez galerie sztuki. Wiemy, o co chodzi. Lubię biżuteryjne wyzwania, kiedy nie jest prosto, a przede wszystkim, kiedy jest inaczej!

**Ciekawe, gdzie przenosisz te wyzwania na projekty - Twoja pracownia mieści się w domu?**

Na dole, ale odpuśćmy sobie wizytę, bo mam teraz wielki bałagan. Nie mam czasu i siły sprzątać. Kiedy urządziłem pracownię w Gdańsku, ludzie przychodzili ją podziwiać i mówili, że wygląda jak pokój z Ikei. Do pewnego czasu panował tam superporządek, ale w chwili, gdy zaczynasz na serio pracować, i to samemu, trudno jest utrzymać ład. Po całym dniu pracownianych występów jestem zmęczony, więc o porządkach nie ma mowy. Gaszę palnik i światło i idę spać. Natomiast rano denerwuję się, że jest już późno, a ja jeszcze nic nie zrobiłem, więc znowu nie ma czasu na sprzątanie. I tak w kółko. Nie jest to miłe, ale znowu nie przesadzajmy. Panuję nad wszystkim. Na moje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że przeciętna pracownia jubilerska to nie setki, a tysiące drobnych elementów porozkładanych niemal w zasięgu ręki. Spróbuj to ogarnąć!

**Kiedyś miałeś pracowników do pomocy. Jak Ci się z nimi współpracowało?**

Pracowników miałem w latach dziewięćdziesiątych, ale jeszcze parę lat temu też. Przychodzili, odchodzili. Dziś robiąc biżuterię taką jak moja lub podobną, trudno utrzymać pracownika. Zaczęło się w Gdańsku. Wtedy potrzebowałem pracowników, ponieważ uruchomiłem dużą produkcję. Z czasem ich ubywało ze wzgędu na zmiany rynkowe. Zdarzyło się, że pracowałem tylko z jedną osobą, natomiast zawsze w superatmosferze. Ja z natury rzeczy szanuję ludzi, a ludzie mnie. Proste! Kiedyś trafił do mnie chłopak, z którym pracowałem może rok. Szykował się do wyjazdu do USA. W ostatnim miesiącu jego pobytu w mojej pracowni nauczyłem go wulkanizowania i rozcinania gum wtryskowych. Los sprawił, że właśnie dzięki tej umiejętności z miejsca dostał pracę w jakiejś manufakturze jubilerskiej na Manhattanie! Ciekawa historyjka. Z morałem, rzekłbym.

**Masz odpowiednie cechy charakteru pasujące do zawodu złotnika?**

Trzeba mieć benedyktyńską cierpliwość!

**Mówiłeś, że jesteś nerwusem.**

Bo jestem, ale potrafiłem też siedzieć w pracowni czasem po kilkanaście godzin, więc bywam zawzięty. Kiedyś miałem wspólnika, z którym pobiłem życiowy rekord ciągłej pracy. Zasiedliśmy do stołów jubilerskich w sobotę o dziewiątej rano, a zakończyliśmy te osobliwe występy dopiero w niedzielę wieczorem, cały czas pracując bez przerwy! Mieliśmy duże zamówienie ze Szwajcarii, na którym nam bardzo zależało. Jednak zdecydowanie nie polecam wykonywania takich numerów. Na marginesie dodam, że warto tak kombinować, żeby nie być w pracowni samemu. Benedyktyńska praca i ciągnąca się w nieskończoność samotność mogą doprowadzić do niemiłych stanów świadomości. W najlepszym wypadku do wyjałowienia mentalnego. Ja akurat mam sposoby, żeby radzić sobie z tym problemem.

**Żyjesz tak, jak sobie wymarzyłeś?**

Dobre pytanie! W ogóle zadajesz ciekawe pytania. Kiedyś byłem szalenie zadowolony z tego zawodu. Początek był fenomenalny, pojawiały się kapitalne emocje związane z projektowaniem i obecnością w galeriach. Można też było w sposób dość łatwy zarobić pieniądze, które gwarantowały bezpieczeństwo i stwarzały dobry komfort pracy. Natomiast w ostatniej dekadzie już tak różowo nie było. To dotyczy wszystkich, nie tylko mnie. Postanowiłem, że nie będę wojował za wszelką cenę. Coś musiałem przemienić w moim podejściu do wykonywanego zawodu w sensie mentalnym i praktycznym. Praca nie może kojarzyć się z walką. Chcę zachować świeżość i spontaniczność. Powinienem zawsze cieszyć się z tego, co robię, uśmiechać się i mieć otwartą głowę. W przeciwnym wypadku pociąg - prędzej czy później - na pewno się wykolei.

**Myślisz, że przyjdzie jeszcze dobry czas dla biżuterii, porównywalny do minionych lat dziewięćdziesiątych?**

Myślę, że pojawią się nisze. Będą w mieście punkty, galerie, które powiążą artystów z - mam nadzieję - coraz to szerszym kręgiem ciekawych odbiorców. Wierzę w to, ponieważ kultura popularna staje się nieznośnie nudna i po prostu głupia. To nie jest strawa dla wszystkich. Ale sprawie trzeba pomóc. Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że w tej profesji trzeba być nie tylko artystą, ale także dobrym promotorem, by umiejętnie wysyłać komunikaty: "Tu jestem". Lekceważyłem marketing, bo przez długie lata nie było mi to do niczego potrzebne. Przeciwnie - kiedy ktoś dzwonił z kolejnymi zamówieniami, to się denerwowałem, że przeszkadza mi w pracy, bo przecież jeszcze poprzednich zamówień nie ogarnąłem. Jeszcze kilka lat temu potrafiłem zejść z kilkudniowych targów po pierwszym dniu, bo załatwiłem kontrakty na pół roku lub nawet rok do przodu. Koledzy mówili, że to nieprofesjonalne, ale ja wolałem pojechać w góry, zrelaksować się i zebrać siły do działania. Dzisiaj te opowiastki brzmią niewiarygodnie, no i jednak zdecydowanie świadczą o moim niegdysiejszym braku profesjonalizmu. Cóż, uczymy się. Ja dopiero pierwszy raz jestem biżuternikiem!

**Skądże, tu nie chodzi o brak profesjonalizmu, rynek się zmienił i tyle.**

Jasne! Kiedyś rozmawiałem z Magdą Kwiatkiewicz o tym, jak właśnie zmienił się rynek. Opowiadała, że dawniej Galerię YES odwiedzało naprawdę sporo ludzi, a dziś zachodzi ich zdecydowanie mniej, choć biżuteria jest chyba ciekawsza, bardziej różnorodna. Tu nie ma się co obrażać na klientów. Ci bowiem mają wreszcie przed sobą praktycznie nieograniczone możliwości wyboru i mogą sięgnąć niemal po wszystko, o czym pomyślą. Zatem jeżdżą po świecie, realizują dowolne pasje, szaleją na zwykłych zakupach, biorą udział w wydarzeniach kulturalnych. Niestety wciąż sporo osób ma problemy finansowe. Godzę się zatem, że na przykład połowa moich znajomych w zimie jedzie na narty, kupuje nowy sprzęt i nie ma już pieniędzy na biżuterię. OK, trudno. Na przełomie lat 80. i 90. nie było zagranicznych wyjazdów na narty, ale za to na co drugiej ulicy była galeria, która zdecydowanie rzucała się w oczy. To były miejsce odmienne, ciekawe, niepowtarzalne i zachęcające, aby je odwiedzać. Podobał mi sie tamten świat, w którym to, co piękne i wartościowe, było widoczne i miało swoje godne miejsce.

**Jak na artystę jesteś wielkim realistą.**

Owszem, choć nie wykonałbym tego, co wykonałem do tej pory - w różnych dziedzinach, zresztą - gdyby to jedno zdanie opisywało całą moją naturę. Niemniej jednak ta sfera ratio, która jest we mnie, spowodowała, że długo zastanawiałem się nad następującym tematem: "Ja a konieczność umizgiwania się do rynku, jaki jest". No cóż - wychodzi na to, że raczej zawalczę o siebie. To, co robię, musi mieć sens! Muszę się czuć dobrze w pracy. Oczywiście rozumiem sytuacje, kiedy trzeba pójść na kompromis (czasem myślę, że cała moja praca jest jednym wielkim kompromisem), jednak gdzieś trzeba wyznaczyć sobie granice, choćby tylko dla higieny psychicznej oraz po to, żeby owa niemiła gra z rynkiem nie obróciła się kiedyś przeciwko tobie.

**Grzegorz Błażko na jakiś czas wycofał się z rynku. Nie uczestniczył na targach złotniczych, ale teraz postanowił wrócić, by pokazać się młodym, aby wiedzieli, że istnieje ktoś taki jak Błażko. Chce pojawić się na chwilę i ponownie wycofać.**

Grzesiek jest moim kolegą z Gdańska. Poznaliśmy się na początku lat dziewięćdziesiątych. Przychodził do mojego domu w Gdańsku, gdzie godzinami dyskutowaliśmy na tematy zawodowe. Był zawsze otwarty - ja też - więc z chęcią wymienialiśmy się wszystkimi informacjami, może nawet inspirowaliśmy się wzajemnie. Fascynował nas również Kraków - mnie ze względu na to, że się tam urodziłem i wychowałem. Pierwszy do Krakowa wystartował Grzesiek, czego mu zazdrościłem. W końcu i ja wylądowałem tam, gdzie moje miejsce. A co do naszego sposobu pracy: ja postawiłem na permanentne uczestnictwo w targach branżowych, a Grzesiek także parę razy był na targach, ale potem odpalił swoją galerię, więc odpuścił te imprezy. Nic, tylko pozazdrościć! Każdy by tak chciał. Jego galeria ma swoją historię. Ludzie wiedzą, że można go znaleźć na ulicy Józefa w Krakowie i chyba - mam taką nadzieję - Grzesiek dobrze sobie radzi. Osobiście życzyłbym nam wszystkim, żeby takie chłopaki i dziewczęta ze swoimi galeriami lub podobnymi przybytkami był rozsiani na każdej ulicy w mieście.

**Już się z Grzegorzem nie przyjaźnicie?**

Ależ skąd! Grzesiek jest moim serdecznym kolegą i zawsze tak będzie, tyle że ja już nie bywam w mieście. Z różnych powodów. Oto jeden z nich: wyobraź sobie, że od rana do wieczora przez dwanaście miesięcy - i tak przez wiele lat - przebywasz w tym samym towarzystwie. Co się z Tobą stanie, kiedy ciągle pracujesz, a po pracy spotykasz się z ludźmi z pracy i rozmawiasz o pracy? Moje skrajnie inne zainteresowania "pozalekcyjne" są poniekąd wybrane świadomie, aby odciąć się od biżuteryjnego świata. Lata temu, kiedy Grzesiek oraz paru innych kolegów przychodzili do mnie i mojej żony, zawsze dominowaliśmy spotkanie tematem złotniczym. Bywało, że pozostali zaproszeni goście - nie z branży - wstawali i wychodzili znudzeni naszymi rozmowami. Wykonujemy trudny zawód. Żeby wygenerować zwykłą pensję, nieustannie musimy się podobać, w podobaniu prześcigać oraz w ogóle mieć coś do powiedzenia! O czym mam opowiadać swoim klientkom poprzez formę, którą sprzedaję? O frezach i pilnikach, które ją wyrzeźbiły, bo na poznanie czegokolwiek innego nie starczało mi czasu? Spotkałem wielu ludzi z branży złotniczej bez sukcesu, którzy byli nudni i odtwórczy. Mnóstwo takich „artystów” funkcjonuje na przykład w Gdańsku. Z reguły oblepiają bursztyn liśćmi dla pieniędzy. Reasumując - gdzieś te akumulatory musisz naładować, bo inaczej po Tobie!

**Domyślam się, że Ty akumulatory ładujesz na Zakrzówku. Dlaczego spośród wielu krakowskich dzielnic, wybrałeś akurat tę, a nie np. artystyczny Kazimierz, który ja uwielbiam za jego osobliwy klimat?**

Zakrzówek to wyjątkowe miejsce nie tylko dla krakowian, ale także w skali całego kraju. Okolica jest tak piękna, że nawet redaktorzy National Geographic wytypowali to miejsce jako jedno z dziesięciu najatrakcyjniejszych w Polsce. Lubię przed pracą wyjść na spacer, powyspinąć się na skałki i spojrzeć na miasto, które akurat startuje do życia. A jak do miasta odwrócę się plecami, zobaczę niewyobrażalnie piękny lazur wody pomiędzy bielą wapiennych skał. Złotnictwo to zawód najczęściej wykonywany w ciasnych, zagraconych pomieszczeniach. Jak nie odreagujesz przestrzenią, powietrzem, daleką perspektywą, ruchem fizycznym i zielenią, to nie wiem, czy można normalnie w nim funkcjonować. Teraz modny jest Kazimierz, na którym się zatrzymałaś, ale kiedyś był dzielnicą zakazaną. W czasie wojny było tu getto, więc po wojnie opustoszał. Wiadomo. Po wojnie na Kazimierz trafił tak zwany element. Dorastałem w Bronowicach. Rodzice w trosce o moje bezpieczeństwo zabraniali mi jeździć na Kazimierz i do Nowej Huty. (Nie muszę dodawać, dokąd jeździliśmy z chłopakami, będąc na wagarach!) A co teraz mamy? Eksplozję życia, młodości i kultury w owej niegdyś zakazanej dzielnicy! To mnie fascynuje!

**Pomijając zakaz chodzenia do Kazimierze i Nowej Huty, jak wspominasz swoje dzieciństwo?**

Bardzo dobrze! Mój bratanek opisał historię mojego ojca, która spokojnie nadaje się na scenariusz filmowy. Ojciec urodził się w 1919 r. i mając dwadzieścia lat, wyruszył na wojnę. Odbył całą kampanię wrześniową, która zakończyła się fiaskiem. Skutek był taki, że trafił do obozu jenieckiego na terenie Niemiec. Przez pięć lat musiał wykonywać rozmaite prace za facetów, którzy akurat byli zajęci poważniejszymi sprawami niż dbanie o rodziny. Dbali bowiem o poszerzenie przestrzeni życiowej dla wybranej rasy panów! Zabawa w poszerzanie przestrzeni skończyła się po utworzeniu drugiego frontu w Normandii. Ojciec zwiał z obozu i przedostał się do dywizji generała Maczka. Znowu walczył. Niestety kilkanaście dni przed końcem wojny został ciężko ranny. O mało nie stracił życia. Mniejsza o szczegóły. Po wojnie leczył się w Londynie. Wrócił do kraju, ale tu napotkał na problemy ze Służbą Bezpieczeństwa. Można by opowiadać w nieskończoność. W każdym razie ojciec był szalenie etycznym i dobrym człowiekiem. Stworzył ciepły, bezpieczny dom, a przecież czasy nie były łatwe. Żyliśmy skromnie, ale w istocie niczego nam nie brakowało. Za to na podwórku odchodziło istne szaleństwo! Rozrabialiśmy jak pijane zające w kapuście, będąc stale pod ostrzałem lamentujących sąsiadów, którzy z okien wykrzykiwali wszystkie przekleństwa na tę niesforną bandę dzieciaków. Teraz jest jakoś inaczej. Ciszej na podwórku, głośniej przed komputerami. Dzieci są bezpiecznie pozamykane w swoich wszystkomających pokoikach.

**A co z Twoimi dziećmi - któraś z córek załapała biżuteryjnego bakcyla?**

Biżuteryjnego nie, ale moje obie córki zostały humanistkami. Jedna z nich zaliczyła przygodę z tańcem współczesnym. Otarła się o zawodowstwo, choć takiego zawodu jak tancerz teatru tańca współczesnego w istocie nie ma. Są zdarzenia... oraz światowe korporacje, które tylko czyhają na takie zabłąkane tancerki. Druga prowadzi szkolenia, jest coachem. Dzieci w niemałym stopniu upodobniają się do swoich rodziców. Gdybym miał polecić córkom zawód złotnika, to musiałbym się nad tym dobrze zastanowić. Uprośćmy sprawę - raczej tego zawodu, gdzie wymagana jest nieustanna kreacja oraz gdzie należy posiadać cały szereg odpowiednich cech charakteru, nie da się nikomu tak po prostu polecić.

**Ale Ty radzisz sobie w nim doskonale. Pani Magda Kwiatkiewicz ma w swojej kolekcji trzy przedmioty Twojego autorstwa. Jesteś w stanie przybliżyć historię tych obiektów?**

Chyba tak. Kiedyś w warszawskiej Zachęcie odbywały się targi złotnicze. Możliwe, że to była jedna z pierwszych edycji targów Złoto Srebro Czas i wtedy właśnie poznałem Panią Magdę - mówimy sobie na ty, to ze wszech miar kapitalna kobieta! Poprosiła mnie o jakiś wyjątkowy przedmiot. Akurat na targach miałem komercyjną, chociaż niezłą biżuterię. Zaproponowałem, że wykonam coś specjalnie do jej kolekcji. Zrobiłem naszyjnik ze srebra i tkaniny. Oprócz wad, które dzisiaj widzę, miał coś w sobie. Lubię go. Lubię się na niego patrzeć i przypominać sobie minione, fajne czasy. Kolejne dwa naszyjniki pojawiły się w zbiorach Magdy w związku z wystawą polskiej sztuki złotniczej, która odbyła się w muzeum w Bydgoszczy. Wówczas zadzwonił do mnie ktoś z sekretariatu Magdy i zapytał, czy można kupić moją biżuterię do kolekcji. Wysłałem dwa naszyjniki, które także uważam za niezłe, choć dobrze pamiętam, że brakowało czasu na taką realizację, która wstępnie wykwitła w mojej głowie! Cóż - pokochałem te dziwne warunki, w których funkcjonuję, i ten mimo wszystko fenomenalny zawód!

**O, tak - coraz częściej utwierdzam się w przekonaniu, że złotnictwo to niesamowita profesja. Kogo z tej branży podziwiasz, kto jest Twoim autorytetem?**

Wielu ludzi podziwiam, zwłaszcza wśród znajomych. Głupio tak strzelać nazwiskami, bo część osób, których prace mnie zachwycają, pewnie bym pominął. Tak bywa w konwencjonalnej rozmowie. Ale skoro dopytujesz, to może powiem tak: proszę zwrócić uwagę na dziewczyny w zawodzie, np. na Dorotę Kos, Karolinę Bik, Małgorzatę Kalinską, Dorotę Gulbierz. Lubię obserwować pracę innych, uczyć się od lepszych ode mnie, mieć swoje autorytety. Zadzieranie nosa i postawa na koguta dramatycznie mnie żenują. Po prostu - kto się uczy, ten jest mądry, kto się nie uczy (bo rzekomo już się nauczył), ten jest głupi. Upraszczam, ale rozumiesz, o co chodzi. Jednak większość autorytetów to ludzie niezwiązani z moim zawodem. Zawsze w tego typu rozmowach myślę o moim nieżyjącym już tacie. Wielkim komplementem jest dla mnie, kiedy ktoś mówi, że jestem do niego podobny pod względem mentalnym. Ojciec był wzorem etycznym - miał znakomity kontakt z ludźmi, był niebywale ciepły i życzliwy. To jest mój fundament.

**Jeśli Twój tato faktycznie taki był, to potwierdzam Wasze podobieństwo. Niecierpliwie czekam na Twój złotniczy powrót, jednocześnie życząc Ci kreatywnego wypoczynku. Dziękuję za wspólnie spędzony czas.**